HARLAN COBEN

Ostatni szczegół

Thriller

1

Myron — z tropikalnym drinkiem bez parasolki w ręku — wylegiwał się u boku powalająco pięknej brunetki w zabójczo skąpym, zachęcającym do gwałtu bikini. Ale choć stopy omywała mu krystaliczna woda Karaibów, drobniutki jak puder piasek olśniewał bielą, niebo błękitniało jak płótno, które Bóg przygotował do malunku, a słońce pieściło rozkosznie niczym szwedzka masażystka, był nad wyraz nieszczęśliwy.

Przebywali we dwoje na tej rajskiej wyspie chyba od trzech tygodni. Nie zawracał sobie głowy liczeniem dni. Terese chyba też nie. Wysepka wydawała się tak odległa od świata jak serialowa wyspa Gilligana: śladu telefonu, żadnych motorówek, trochę świateł — w porównaniu z tą Robinsona Crusoe mnóstwo luksusu — niemniej z pewnością nie prymitywnie. Myron pokręcił głową. Możesz oderwać chłopca od telewizji, lecz nie wybijesz mu jej z głowy.

Pośrodku widnokręgu wyrósł jacht. Pruł w ich kierunku, znacząc niebieską tkaninę morza białym ściegiem. Na jego widok Myrona ścisnęło w dołku.

Nie wiedział, gdzie właściwie się znajdują, choć wyspa

nie była bezimienna. Nazywała się Święte Bachanalie. Naprawdę. Część owego skrawka planety, należącego do jednej z wielkich firm wycieczkowych, przeznaczono dla pasażerów statków, aby mogli pływać, biesiadować i zażywać rozkoszy we „własnym osobistym wyspiarskim raju". Osobistym — do spółki z dwoma tysiącami innych bachicznych *turistas*, upchniętych jak foki na spłachetku plaży.

Po tej stronie wyspy było jednak całkiem inaczej. Stał tu tylko jeden dom, własność dyrektora oceanicznych linii wycieczkowych, hybryda krytej strzechą chaty i kolonialnej hacjendy na plantacji. W promieniu mili od niej mieszkał tylko służący. Wszyscy ludzie żyjący na wyspie — jakieś trzydzieści dusz — pracowali jako dozorcy w linii wycieczkowej.

Jacht, na którym zgaszono silnik, podpłynął bliżej.

Terese Collins zsunęła z nosa okulary przeciwsłoneczne i zmarszczyła brwi. Od trzech tygodni ich kawałek piasku mijały leniwie tylko olbrzymie liniowce, noszące tak wyrafinowane nazwy, jak Sensacja, Ekstaza, Punkt G.

— Mówiłeś komuś, gdzie jesteśmy? — spytała.

— Nie.

— Może to John.

John był jej przyjacielem, wspomnianym już dyrektorem linii wycieczkowych.

— Nie sądzę.

Terese Collins, bardzo znaną, przebywającą właśnie „na urlopie" spikerkę wiadomości CNN, Myron poznał nieco ponad trzy tygodnie temu na imprezie charytatywnej, na którą w dobrej wierze zabrali ich znajomi. Wspólnota w nieszczęściu i cierpieniu przyciągnęła ich do siebie jak magnes. Zaczęło się od pokusy: a gdyby tak rzucić wszystko i uciec? Zniknąć z kimś, kto pociąga cię fizycznie i kogo

ledwie znasz? Oboje podjęli wyzwanie, po dwunastu godzinach znaleźli się na St Marteen, a po dwudziestu czterech tutaj.

Myron, który spał w sumie z czterema kobietami w życiu, który nie doświadczył przygód na jedną noc, nawet w epoce, gdy były one w modzie, wolnej ponoć od chorób wenerycznych, który ani razu nie odbył stosunku z czysto fizycznej potrzeby, bez miłości i zaangażowania, decyzję o ucieczce uznał za nadzwyczaj słuszną.

Nikomu nie powiedział, dokąd jedzie ani na jak długo — przede wszystkim dlatego, że sam nie miał pojęcia. Przez telefon poprosił mamę i tatę, żeby się o niego nie martwili (z równym skutkiem mógł im poradzić, by postarali się o skrzela i oddychali pod wodą). Esperanzy przekazał faksem prowadzenie RepSport MB, ich, od niedawna wspólnej, agencji sportowej. Do Wina nawet nie zadzwonił.

— Wiesz, kto to jest — domyśliła się obserwująca go bacznie Terese.

Nie odpowiedział. Serce zabiło mu mocniej.

Jacht podpłynął bliżej brzegu, drzwi kabiny od strony dziobu otworzyły się i na pokład wyszedł Win. Na jego widok Myrona zatkało. Win nigdy nie wpadał gdzieś przypadkiem. Jeżeli tu przypłynął, z pewnością stało się coś złego.

Myron wstał. Odległość była za duża. Nie zawołał, poprzestając na pozdrowieniu ręką. Win skinął mu głową.

— Zaraz. Czy to nie do jego rodziny należy firma Lock-Horne? — spytała Terese.

— Tak.

— Przeprowadziłam z nim kiedyś wywiad. W związku z bessą na giełdzie. Ma długie, napuszone nazwisko.

— Windsor Horne Lockwood Trzeci.

— Właśnie. Dziwny człowiek.

Gdybyż tylko miała pojęcie, jak bardzo dziwny.

— Diablo przystojny, wygląda na dziedzica rodowej fortuny, członka prywatnych klubów, kogoś, kto urodził się ze srebrnym kijem golfowym w ręku.

W tym momencie Win jakby na dany znak przeczesał dłonią włosy i uśmiechnął się.

— Macie z sobą coś wspólnego — rzekł Myron.

— Co?

— Oboje uważacie, że Win jest diablo przystojny.

— Wracasz — powiedziała z lekką obawą Terese, uważnie przyglądając się jego twarzy.

— Po to przypłynął.

Ujęła jego rękę. Była to ich pierwsza czuła chwila od balu charytatywnego sprzed trzech tygodni. Sami we dwoje na wyspie, stosunek za stosunkiem, a przy tym żadnych tkliwych pocałunków, delikatnych głaśnięć, łagodnych słów. Dziwne? Ale połączyły ich chęć zapomnienia o przeszłości i wola przetrwania — związek dwóch zdesperowanych dusz na ruinach uczuć, niezainteresowanych próbą ich odbudowy.

Większość dni Terese spędzała na długich samotnych spacerach, podczas gdy on przesiadywał na plaży, ćwiczył i niekiedy czytał. Spotykali się, żeby zjeść, kochać się i spać. Poza tym dawali sobie spokój, każde z osobna lizało swoje rany. Myron widział, że Terese — podobnie jak on — głęboko i mocno przeżywa jakąś niedawną tragedię. Nigdy jednak nie spytał jej, co się stało. A ona też go o nic nie pytała.

Taka była niepisana zasada ich małego szaleństwa.

Jacht się zatrzymał, rzucono kotwicę, Win wsiadł do łódki z motorkiem. Myron czekał, przebierał nogami, szykował się na najgorsze. Blisko brzegu Win zgasił silnik.

— Moi rodzice?! — zawołał Myron.

— Cali i zdrowi.

— Esperanza?

Win lekko się zawahał.

— Potrzebuje twojej pomocy.

Zszedł do wody ostrożnie, jakby oczekiwał, że utrzyma jego ciężar. Miał na sobie elegancką koszulę z kołnierzykiem na guziczki oraz szorty od Lilly Pulitzer tak jaskrawe, że spłoszyłby rekiny. Jachtowy japiszon. Był drobnej budowy, lecz na jego przedramionach grały mięśnie niczym stalowe węże.

Kiedy do nich podszedł, Terese wstała. Win podziwiał jej urodę, przyglądając się, lecz nie gapiąc. Niewielu mężczyzn tak potrafi. Ot, dobre wychowanie. Ujął dłoń Terese i uśmiechnął się. Wymienili uprzejmości, a po nich sztuczne uśmiechy i zbyteczne uwagi. Osłupiały Myron tego nie słuchał. Terese przeprosiła ich i wróciła do domu.

— Prima sempiterna — pochwalił Win, bacznie jej się przyglądając.

— Do mnie pijesz? — spytał Myron.

— W telewizji zawsze siedzi za pulpitem — odparł Win, w najlepsze śledząc sokolim wzrokiem... cel. — W życiu bym się nie domyślił, że sempiternę ma pierwsza klasa. — Pokręcił głową. — Wielka szkoda.

— Pewnie. Może podczas każdego wejścia na antenę powinna kilka razy wstać, parę razy się odwrócić, skłonić et cetera.

— Święta słowa! — Win zerknął na Myrona. — Pstryknąłeś jej serię fotek, nagrałeś na wideo?

— Nie, tak byś zrobił ty albo gwiazda rocka kawał zboka.

— Szkoda.

— Dobrze, dobrze, zrozumiałem. — Prima sempiterna? — No więc, co się dzieje z Esperanzą?

Terese zniknęła w drzwiach wejściowych. Win westchnął cicho i obrócił się do Myrona.

— Zatankowanie paliwa zajmie pół godziny. Potem odpłyniemy. Pozwolisz, że spocznę?

— Co się stało, Win?

Win bez słowa usiadł na leżaku, ułożył się wygodnie, podłożył ręce pod głowę i skrzyżował nogi.

— Muszę przyznać, że jak ci odbija, to z klasą — powiedział.

— Wcale mi nie odbiło. Potrzebowałem odpocząć.

— Uhm.

Win odwrócił wzrok i do Myrona raptem dotarło, że zranił jego uczucia. Dziwne, ale chyba prawdziwe. Ten błękitnokrwisty, arystokratyczny socjopata nie zatracił mimo wszystko ludzkich uczuć. Chociaż od czasu studiów byli nierozłączni, to uciekając z Nowego Jorku, Myron nawet do niego nie zadzwonił. A przecież Win nie miał prócz niego nikogo bliskiego.

— Chciałem do ciebie zadzwonić — zaczął niepewnie Myron.

Win nie zareagował.

— Wiedziałem jednak, że w razie kłopotów mnie znajdziesz.

To prawda. Win odnalazłby igłę w stogu siana.

— Nieważne.

— Więc co się dzieje z Esperanzą?

— Chodzi o Clu Haida.

Haid był pierwszym klientem Myrona, baseballistą u schyłku kariery.

— A co z nim?

— Nie żyje.

Pod Myronem ugięły się nogi. Opadł na leżak.

— Zabity trzema strzałami we własnym mieszkaniu.

Myron opuścił głowę.

— Myślałem, że powrócił na właściwą drogę.

Win nie odpowiedział.

— A co ma do tego Esperanza?

— W tej chwili — Win spojrzał na zegarek — wedle wszelkiego prawdopodobieństwa aresztują ją za zamordowanie Haida.

— Co takiego?!

Win znów nie odpowiedział. Nie cierpiał się powtarzać.

— Myślą, że go zabiła?

— Jak dobrze, że wakacje nie stępiły twoich zdolności do dedukcji.

Win wystawił twarz w stronę słońca.

— Jakie mają dowody?

— Na przykład narzędzie zbrodni. Ślady krwi. Włókna. Masz jakiś olejek ochronny?

— Ale jak...? — Myron utkwił wzrok w nieprzeniknioną jak zwykle twarz przyjaciela. — Zrobiła to?

— Nie mam pojęcia.

— Nie spytałeś?

— Nie chciała ze mną rozmawiać.

— Słucham?

— Z tobą również.

— Nie rozumiem — rzekł Myron. — Esperanza nikogo by nie zabiła.

— Jesteś tego pewien?

Myron przełknął ślinę. Przyszło mu na myśl, że świeże przeżycia pomogą mu lepiej zrozumieć przyjaciela. Win również zabijał. I to często. A ponieważ on sam też niedawno

zabił, uznał, że połączy ich dodatkowa więź. Ale nie połączyła. Przeciwnie. Wspólne doświadczenie odsunęło ich od siebie.

Win ponownie sprawdził godzinę.

— Może się spakujesz? — zagadnął.

— Nie muszę nic brać.

Win wskazał ręką dom. Stojąca w otwartych drzwiach Terese patrzyła na nich w milczeniu.

— W takim razie pożegnaj się z Madame Sempiterną i ruszajmy w drogę — powiedział.

2

Ubrana w szlafrok, Terese czekała oparta o framugę drzwi.

Nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, Myron poprzestał na „dziękuję”.

Skinęła głową.

— Pojedziesz ze mną? — spytał.

— Nie.

— Nie zostaniesz tu na zawsze.

— Dlaczego?

— Nie masz pojęcia o boksie — rzekł po chwili.

— Wyraźnie czuję — powąchała powietrze — że zanosi się na metaforę sportową.

— Niestety.

— Fe! Trudno.

— Między nami toczy się swoisty pojedynek — zaczął Myron. — Uskakujemy, robimy zwody, nurkujemy, unikamy zwarcia. Ale nie możemy tego robić w nieskończoność. W końcu trzeba będzie zadać cios.

Skrzywiła się.

— Kiepskie skojarzenie.

— Pod wpływem impulsu.

— I nieścisłe — dodała. — A co powiesz na to? Poznaliśmy siłę przeciwnika. Powalił nas na matę. Jakoś zdołaliśmy wstać, lecz nogi wciąż mamy jak z waty, a przed oczami mgłę. Jeszcze jeden cios i będzie po walce. Najlepiej potańczyć, nie dać się trafić i utrzymać dystans.

Trudno zaprzeczyć.

Zamilkli.

— Jeśli wpadniesz do Nowego Jorku, zadzwoń, to...

— Dobrze.

Znów zamilkli.

— Wiemy, co się stanie — powiedziała Terese. — Spotkamy się na kilka drinków, zapewne wskoczymy do wyrka, ale nie będzie tak samo. Będziemy skrępowani. Będziemy udawać, że się zeszliśmy, lecz na święta nie wyślemy sobie kartek. Nie jesteśmy kochankami, Myron. Nie jesteśmy nawet przyjaciółmi. Nie wiem, kim właściwie dla siebie jesteśmy, niemniej jestem ci wdzięczna.

Zakrakał ptak. Nuciły cicho małe fale. Przy brzegu, w zatrważająco cierpliwej pozie, stał z założonymi rękami Win.

— Powodzenia, Myron.

— Nawzajem.

Na jacht dopłynęli dingi. Myron chwycił rękę, którą podał mu załogant, wsiadł, ruszyli. Stał na pokładzie wsparty o barierkę z drewna tekowego — tekowego! — i patrzył na oddalający się brzeg. Wszystko tutaj było ciemne, kosztowne i z teku.

— Proszę — usłyszał głos Wina i odwrócił się.

Win rzucił mu yoo-hoo — jego ulubiony drink, gazowany czekoladowy koktajl mleczny. Myron uśmiechnął się.

— Nie piłem go od trzech tygodni — powiedział.

— Koniec cierpień. To z pewnością była dla ciebie katorga.

— Zero telewizji i yoo-hoo. Cud, że przeżyłem.

— Właśnie, żyłeś tu prawie jak mnich. — Win obejrzał się na wyspę. — To znaczy, jak mnich, który bzyka co niemiara.

Obaj zwlekali z przejściem do rzeczy.

— Ile zajmie nam powrót? — spytał Myron.

— Osiem godzin jachtem — odparł Win. — W Saint Bart's czeka na nas odrzutowiec. Lot potrwa ze cztery godziny.

Myron skinął głową. Potrząsnął puszką, otworzył ją, pociągnął duży łyk i obrócił się w stronę wody.

— Przepraszam — powiedział.

Win puścił jego przeprosiny mimo uszu. A może go zadowoliły. Jacht przyspieszył. Myron zamknął oczy, wystawiając twarz na pieszczoty wodnego pyłu. Pomyślał przelotnie o Clu Haidzie. Już na pierwszym roku prawa na Harvardzie Clu, który nie ufał agentom sportowym, uważając ich za „gorszych od pedofili", poprosił go o wynegocjowanie kontraktu. Myron spełnił prośbę kolegi. Spodobało mu się to i niebawem założył agencję RepSport MB.

Clu był uroczym nicponiem. Niepoprawnym wielbicielem wina, kobiet i śpiewu, nie wspominając o mocniejszych używkach, które wpadły mu w ręce, nos czy żyły. Dla tego potężnie zbudowanego rudowłosego, chłopięco przystojnego, niebywale czarującego, niemal staroświeckiego hulajduszy nie było nieudanych imprez. Wszyscy go kochali. Nawet Bonnie, jego anielsko cierpliwa żona. Ich pożycie przywodziło na myśl rzuty bumerangiem. Bonnie wyrzucała Clu, on jakiś czas wirował w powietrzu, wracał, a ona go łapała.

Tylekroć wydobywany przez Myrona z kłopotów — zawieszany za narkotyki, zatrzymywany za jazdę w stanie nietrzeźwym itp. — Clu w końcu zwolnił nieco obroty, nabrał ciała i stracił na uroku. Sprowadzony w drodze wymiany do zespołu nowojorskich Yankees, trafił pod ścisły nadzór, otrzymując ostatnią szansę poprawy. Po raz pierwszy w życiu pozostał na odwyku i uczęszczał na spotkania Anonimowych Alkoholików. W latach dziewięćdziesiątych odzyskał szybkość rzutu.

— Chcesz usłyszeć, co się stało? — Win wyrwał Myrona z zamyślenia.

— Nie jestem pewien.

— Tak?

— Poprzednim razem nawaliłem. Nie posłuchałem twoich ostrzeżeń i zginęło przeze mnie wiele osób. — Myron powstrzymał napływające łzy. — Pojęcia nie masz, jak źle się to skończyło.

— Myron?

Myron obrócił się w stronę przyjaciela. Ich oczy się spotkały.

— Weź się w garść — rzekł Win.

— Nie znoszę, kiedy mi pobłażasz — odparł Myron, wydając z siebie trójdźwięk złożony ze szlochu i chichotów.

— Wolałbyś porcję pustych frazesów? — Win zakręcił trunkiem w szklaneczce i skosztował. — Wybierz któryś z nich i lećmy dalej: życie jest ciężkie; życie jest okrutne; życiem rządzi przypadek; bywa, że dobrzy ludzie są zmuszeni do złego; niewinni czasem giną; tak, Myronie, nawaliłeś, ale tym razem spiszesz się lepiej; nie, Myronie, nie nawaliłeś, to nie była twoja wina; każdy kiedyś się przełamuje, kolej na ciebie... Mam przestać?

— Bardzo proszę.

— No, to zacznijmy od Clu Haida.

Myron skinął głową, łyknął yoo-hoo i opróżnił puszkę.

— Naszemu koleżce ze studiów wszystko szło jak po maśle. Rzucał dobrze. W domu sielanka. Zaliczał testy antynarkotykowe. Z dużym zapasem przestrzegał „godziny policyjnej". Lecz dwa tygodnie temu wszystko się zmieniło: niespodziewana kontrola dała wynik pozytywny.

— Co wykryli?

— Heroinę.

— Mediom Clu nic nie powiedział, ale prywatnie stwierdził, że test sfałszowano. Użył bzdurnej wymówki w rodzaju: ktoś dosypał narkotyku do jedzenia.

— Skąd to wiesz?

— Od Esperanzy.

— Spotkał się z Esperanzą?

— Tak. Po wpadce z testem zwrócił się oczywiście o pomoc do swego agenta.

— Aha — rzekł po chwili Myron.

— Pominę milczeniem krach agencji RepSport MB. Powiem tylko, że Esperanza i Wielka Cyndi zrobiły co mogły. Ale to twoja firma. Klienci wynajęli ciebie. Wielu bardzo nie spodobało się twoje nagłe zniknięcie.

Myron wzruszył ramionami. To zmartwienie odłożył na później.

— Clu wpadł na kontroli, i co? — spytał.

— I natychmiast go zawiesili. Media wzięły go pod obcasy. Stracił wszystkie kontrakty reklamowe. Bonnie wyrzuciła go z domu. Jankesi się go wyrzekli. Ponieważ nie miał się do kogo zwrócić, wciąż zachodził do twojego biura. Od Esperanzy słyszał, że jesteś nieosiągalny. Jego złość z każdą wizytą rosła.

Myron zamknął oczy.

— Cztery dni temu Clu dopadł Esperanzę przed agencją. Ściślej, na parkingu w biurowcu Kinneya. Doszło do ostrej, głośnej sprzeczki. Według świadków, Clu uderzył ją w usta.

— Co takiego?!

— Zobaczyłem ją nazajutrz. Z zapuchniętą szczęką. Mimo że ledwo mogła mówić, kazała mi pilnować własnego nosa. Z tego co wiem, gdyby Mario i inni parkingowi nie odciągnęli ich od siebie, na tym by się nie skończyło. Podobno kiedy ich trzymali, Esperanza posłała Clu wiązankę typu: „Dorwę cię za to, kutafonie, sukinsynu, miękki fiucie!”.

Myron pokręcił głową. Nie pojmował, jak to możliwe.

— Następnego dnia po południu znaleziono go martwego w wynajętym mieszkaniu w Fort Lee — ciągnął Win. — Policja dowiedziała się o ich sprzeczce. Wydali nakaz przeszukania i znaleźli narzędzie zbrodni, pistolet, kaliber dziewięć milimetrów, w twoim biurze.

— W moim biurze?!

— Tak, w agencji MB.

Myron ponownie pokręcił głową.

— Ktoś go podrzucił — powiedział.

— Zapewne. Znaleźli również pochodzące z mieszkania Clu włókna z wykładziny dywanowej.

— To bez znaczenia. Clu odwiedzał agencję. Przyniósł je tam na butach.

— Zapewne — powtórzył Win. — Trudniej wytłumaczyć plamki krwi w bagażniku twojego samochodu.

Myron o mało nie upadł.

— W taurusie?

— Tak.

— Policja potwierdziła, że to krew Clu?

— Potwierdziła zgodność grupy. Testy DNA zajmą parę tygodni.

Myron nie wierzył własnym uszom.

— Esperanza jeździła moim wozem?

— Tego dnia tak. Z zapisów z elektronicznej rogatki wynika, że twój taurus wjechał do Nowego Jorku przez most Waszyngtona akurat w godzinie popełnienia morderstwa. Jak wspomniałem, Clu zginął w Fort Lee. Jego mieszkanie jest około dwóch mil od mostu.

— Obłęd.

Win milczał.

— A co z motywem? — spytał Myron.

— Na razie policja nie ma nic konkretnego. Ale wymienili kilka.

— Na przykład?

— Esperanza została niedawno twoją wspólniczką. Oddałeś w jej ręce decyzje. Pierwszy klient twojej agencji postanowił odejść.

Myron zmarszczył brwi.

— I to ma być motyw?

— Poza tym Clu na nią napadł. Niewykluczone, że obwinił ją o wszystkie swoje niepowodzenia. Może postanowiła się zemścić? Kto wie?

— Wspomniałeś, że nie chciała z tobą rozmawiać.

— Tak.

— Spytałeś ją o zarzuty?

— Tak.

— I?

— Oświadczyła, że panuje nad sytuacją — odparł Win. — Zabrania mi się z tobą kontaktować i nie życzy sobie z tobą rozmawiać.

— Dlaczego? — spytał zaskoczony Myron.

— Nie mam pojęcia.

Myronowi stanęła przed oczami latynoska piękność, którą poznał w czasach, kiedy — wieki temu — jako Mała Pocahontas występowała na zapaśniczym ringu. Pracowała dla RepSport MB od powstania agencji — najpierw jako sekretarka, a obecnie, po skończeniu studiów prawniczych, jako pełnoprawna wspólniczka.

— Jestem jej najlepszym przyjacielem — rzekł.

— Dobrze wiem.

— Więc jak mogła powiedzieć coś takiego?

Win uznał, że pytanie nie wymaga odpowiedzi.

Wyspa już zniknęła za horyzontem. Dookoła rozciągał się spieniony ciepły błękit Atlantyku.

— Gdybym nie uciekł... — zaczął Myron.

— Myron?

— Słucham?

— Znowu jojczysz. Nie znoszę tego.

Myron skinął głową i oparł się o barierkę z teku.

— Masz jakiś pomysł? — spytał Win.

— Ze mną na pewno porozmawia.

— Próbowałem się do niej dodzwonić.

— No i?

— Nie podniosła słuchawki.

— Próbowałeś z Wielką Cyndi?

— Mieszka teraz z Esperanzą.

Żadna niespodzianka.

— Co dziś mamy? — spytał Myron.

— Wtorek.

— Wielka Cyndi nadal stoi na bramce w Skurze i Chóci. Może tam teraz być.

— W dzień?

Myron wzruszył ramionami.

— Dewiacje seksualne nie mają wolnego.

— Dzięki Bogu — rzekł Win.

Zamilkli, jacht lekko ich kołysał. Win zmrużył oczy, patrząc pod słońce.

— Pięknie, co?

Myron skinął głową.

— Po tak długim czasie można mieć tego po uszy.

— Owszem.

— Zejdźmy pod pokład. Mam tam coś miłego.